

Leon Brofelt

Anioł w majonezie

Czyli opowiadania z końca wieku
oraz miłe złego początku



Leon Brofelt

Anioł w majonezie

czyli opowiadania z końca wieku oraz miłe złego początki

do wydania przygotował, posłowiem i notką o autorze opatrzył Tomasz Kostro
okładkę zaprojektowała i opracowała plastycznie Ewa Toczowska

Copyright by Tomasz Kostro & e-bookowo 2008

Ilustracje i okładka: copyright Ewa Toczowska

ISBN 978-83-61184-14-0

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2008

www.e-bookowo.pl

*Kasi i Sebastianowi
najmilszej parze Europy z wdzięcznością za inspiracje*

OPOWIADANIA Z KOŃCA WIEKU	5
Pomysł (opowiadanie kryminalne)	5
Pomyłka (opowiadanie autentyczne)	36
W sanatorium (opowiadanie zaduszne)	54
Kumulacja w Portkach (opowiadanie rodzinne)	67
Anioł w majonezie (opowiadanie mistyczne z licznymi cytatami)	86
Pociąg (opowiadanie jakoby prawdziwe)	96
Romeo i Lukrecje (opowiadanie z drugiej ręki)	107
Tapczan (opowiadanie nieprawdopodobne)	140
MIŁE ZŁEGO POCZĄTKI	149
Jak zostałem literatem, czyli niemiłe złego początku	149
Soso w przedszkolu	153
Pierwszy i jedyny	161
Nie musicie towarzyszu uważać	165
Opaska na oku	172
Z powodu kardynała	175
Dziewczyna z warkoczami	182
Wenus z jeziora Kalejty	189
Postowie	197
Leon Brofelt - kilka słów o autorze i "Aniele w majonezie"	197

Opowiadania z końca wieku

Pomysł (opowiadanie kryminalne)

- Mam pomysł! – oznajmił gromko Gabryś wchodząc do mieszkania.

Zzuł buty i zatarł ręce. Minę miał dziarską, szelmowski uśmiezek błąkał mu się pod wąsem.

- O Boże! – jęknęła Luśka w odpowiedzi, głośno zaś powiedziała:

- Nie waż się ruszyć tej setki w kredensie! To na wyjazd dzieci!

Głos miała skrzekliwy, jak rozdzierana blacha. Była w kuchni.

Nawet do niej nie zajrzał. Zwalił się na tapczan i ciągle lekko uśmiechnięty wgapił się w płamę na suficie. Wyglądał jak nieboszczyk przygotowany fachową ręką do ostatniej podróży, taki pogodny, wyprostowany, z rączkami nabożnie splecionymi, tylko gały mu zamknąć, o kciuk zahaczyć różaniec. No i ubrać odpowiednio! Był w wystrzępionych dołem dzinsach i niegdyś białej koszulce ze spranym napisem: „Keep smiling. Boss live idiots”.

Pomysł wpadł mu do głowy pod Urzędem Pracy. Wychodził właśnie z gmachu po odebraniu nędznego zasiłku (jeszcze tylko raz czekała go taka frajda) kiedy przed urzędem spotkał dwu kolegów ze szkoły. Przysiedli na ławce, popalili, pogawędzili, powspominali. Kupę lat! Jak leci? I takie inne głupstwa. Widywali się rzadko a od matury, jakby nie patrzeć, ponad dwadzieścia lat minęło. Nie bardzo więc mieli o czym rozmawiać. Opowiadać sobie nawzajem jak to pracę tracili? Licytować się, który bardziej się narażał, aby taki chwalebny osiągnąć status? Klęli tylko kwiecicie i mało konkretnie. Nie wiadomo czyje mamuśki mieli na uwadze.

Na parking, tuż przed zajętą przez nich ławkę, zajechała luksusowa fura z szelstem nowych opon i wyuzdanie lubieżnym pomrukiem silnika. Gość z limuzyny nie

wysiadł, gapił się tylko na tę trójkę wykolejeńców, na Gabrysia szczególnie. Wtedy właśnie pomysł przeszył gabrysiowy mózg, aż zabolalo.

Wstrząsnął się, wstał, poprawił portki, pstryknął petem na trawnik.

- No to cześć! Do miłego... Wpadnij który kiedyś.

Poszedł. Po drodze pomysł w myślach pieścił. Zanim doszedł do domu przerebił go na plan do wykonania.

- Nogi ci śmierdzą. – powiedziała Luśka przechodząc koło tapczanu. Skrzywiła się przy tym, jakby miała powód. Wielkie rzeczy! Gorąco, buty na gumie to i nogi śmierdzą. Jej to i owo różami też nie pachnie, a przecież uwag na ten temat nie wygłasza. Zresztą, mniejsza z tym. Teraz nie ma głowy do głupstw. Wpadł na cholernie dobry pomysł i musi się skupić, szczegóły przemyśleć, dobór współników starannie rozważyć. Wiadomo, niejeden dobry pomysł położyło gówniane wykonanie. Rzecz solidnie przygotowana musi się udać! Nie ma prawa być inaczej!

Gabryś uchodził niegdyś za łebskiego chłopaka - w wojsku na przykład - doskonale sobie radził. Połowa pułku mu zazdrościła. Dobrze się zapowiadał, a potem tylko Luśka, dzieciaki, ciepłe kapcie wieczorami. Rozleniwił się, przytył, ogłupiał, z kolegami kontakt stracił. Luśki pilnował i ze wszystkim jej się słuchoł, pantoflarz zafajdany! Czas się opamiętać.

- Będzie dziś jakieś żarcie? – spytał cicho, jakby od niechcienia, broń Boże, żeby z naciskiem.

- Najpierw mi powiedz, skąd na to żarcie brać? – syknęła zaczepnie wracając do kuchni.

Uśmiechnął się błogo, aż miejsce po lewej, górnej dwójce zaczerniło pod wąsem. Oj Luśka, Luśka, nie wiesz skąd? – pomyślał – I nie dowiesz się, ale już niedługo wydawać nie nadążysz! Moja w tym głowa!

Uniósł się na łokciu.

- Luśka, mam cholernie dobry pomysł! Poczekaj jeszcze trochę, a na Sylwestra skoczmy do Paryżewa... albo na Kanary? Co?

- Idiota!

Usłyszał, choć powiedziane to było cicho.

Nie obraził się. Teraz, wobec pomysłu wszystko blakło, traciło znaczenie. Dziewczyny są od tego, żeby mieć muchy w nosie. Ta jego dziewczyna ma szczególnie powód, psia krew! Głupio dał się z roboty wyślizgać, biedują teraz bo i ona dawno bez stałej pracy. Dorabia trochę jako kuchta i otrzyjdupsko u tych aferzystów z za parku, ale to wszystko mało. Długi rosną, a jego za cholerę nikt nie chce.

Wstał i poczłapał do kuchni. Jednak coś upitrasiała. Rozstawiała właśnie talerze i sztuce. Robiła to hałaśliwie, zamasyście, wściekła jak osa za koszulą. Lepiej się nie odzywać.

Pomysłem dzielić się ani myślał, bo to nie babska rzecz. A zresztą, im mniej ludzi o tym wiedzieć będzie, tym lepiej. Już dostatecznie mocno bolał go fakt, że współników musi szukać.

Gaz pod garnkiem się palił, a ona smyrknęła do łazienki, obmyła się trochę, przyczesła, porwała torebkę.

- Za piętnaście minut zgaś pod zupą. Dzieciom zostaw!

Krupnik był gęsty, smaczny. Luśka, choć kawał cholery, gotuje doskonale. Niby nie ma co do garnka włożyć a potrafi wyczarować takie cudowności prawie z niczego. Raz jeszcze nalał sobie do pełna. Kiedyś przy sąsiadach i dzieciach pochwalił ją za kuchcienie, bardzo ją pochwalił, w rękę pocałował. Odpaliła mu wtedy:

- Trzeba ci było z kucharką się żenić!

Lekkiego życia to przy Luście nie miał. Fakt. Do żywego dopiec umiała zawsze. Kłapania dziobem nie skąpiła, ale z drugiej strony, odkąd ją poznał ani raz za inną się nie obejrzał, bo i po co? Co komu po wróblu jak kanarka złapał? Dużo może o tym powiedzieć, bo za kawalerskich czasów wróbliczek nastrzelał się dość.

Sprzątnął po sobie, wyniósł stołek na balkon, siadł, odliczył papierosy. Porcję na dziś odłożył na wierzch, jednego zapalił i zaczął myśleć.

* * *

Od tego myślenia spać w nocy nie mógł i Luśce nie dawał. Rzucił się po pościeli, wzdychał, sapał, ze trzy razy okrakiem przez nią przełaził, niby do łazienki. Ostatnim razem kiedy wracał, zapytała:

- Czego nie spisz? Chory jesteś, czy co?

- Myślę. – Burknął.

- Dnia ci mało? Miesiącami nic nie robisz tylko myślisz i myślisz, a prąd nam odetną za niepłacenie. Robotę byś sobie wymyślił!

- Właśnie wymyśliłem.

Nie zainteresowała się niebywałym wyznaniem. Poprzedni jego pomysł kosztował ją miesięczny zarobek, dwa pierścionki i medalik, a za dawniejszy do dzisiaj wiszą Maciążkowi niezły grosz. Napomknięcie o tych sprawach groziło awanturą.

Rozbudzona Luśka ziewnęła szeroko, przeciągnęła się lubieżnie odkopując na bok kołdrę. Zamajaczyły w półmroku jej czary. Dużo więcej jej się narobiło przez te lata. Na tapczanie, razem, ledwie się mieścili.

Nocne myślenie nie na wiele Gabrysiowi się zdało. Pobłądził w ciemnościach, na manowce go zniosło, zamiast plan zdobycia bogactwa misternie układać, jałowymi wizjami jego trwonienia umysł zabawiał. Na Luškę ani spojrział, ani się nią, jak trzeba, nie zajął, tylko legł pod ścianą, ręce za głowę założył i znieruchomiał. Odwróciła się obrażona.

Nie ma co się dziwić, tej nocy wydał w marzeniach więcej niż w życiu widział. Odespał za dnia. Luśka wyprawiła dzieci do teściów, a sama też z domu się wyniosła. Miał spokój.

Oprzytomniał wieczorem, kiedy natknął się na tę samą brykę, co wczoraj pod urzędem. Gość, jak wtedy, siedział w środku. Kropiło trochę, więc Gabryś specjalnie się nie dziwił, że facet w wozie siedzi. Czeką pewnie na kogoś, a że nudzi się to i gały wytrzeszcza na przechodniów. Gabryś wyszedł z psem, czego zasadniczo nie lubił, ale dzisiaj nie miał na kogo obowiązku zepchnąć. Dzięki temu zobaczył gościa i przypomniał sobie, że ma pracować nad planem, a nie fantazjować. Od tej godziny twardo nad myślami panował i na żadne skoki po bokach im nie pozwalał. Skoro świt był już gotów ułożyć ścisły harmonogram zadań do wykonania. Narobiło się tego od cholery,

a tak z początku wyglądało prosto. Wieczorem, drżąc z obawy, nakreślił kosztorys. Kamień spadł Gabrysiowi z serca skoro okazało się, że nakłady, wobec spodziewanego profitu, są doprawdy niewielkie.

Podopieczna Luški, niemiła starucha, matka tego aferzysty, zaniemogła nagle bardziej niż to miała w zwyczaju, zyskał wobec tego sporo swobody.

Już w niedzielę miał plan gotowy w najdrobniejszych szczegółach. Teraz musi wziąć się za gromadzenie koniecznego sprzętu i zatroszczyć się o rzecz najtrudniejszą, o dobranie i zgodzenie współników. Niestety, bez tego się nie da! Potrzebował co najmniej trzech, a najlepiej pięciu.

Wypisał Gabryś nazwiska kandydatów na kartce, wielokrotnie listę poprawiał, tego skreślił, owego dopisał, wreszcie z trzaskiem notesik zamknął i poszedł spać. Po raz pierwszy od wtorku przespał noc snem głębokim i krzepiącym. Rano wstał świeży. Na umyte z wieczora nogi naciągnął nowe skarpety, ubrał się odświeżnie, prawie jak do kościoła i ruszył do miasta.

* * *

W drugiej kompani jego pułku (ile to już lat?) służył niejaki Zenek Szprycha dorównujący Gabrysiowi, a może nawet przewyższający go talentem w organizowaniu najrozmaitszych dóbr. Wyższość Szprychy polegała na tym, że kradł bez skrupułów, podczas gdy Gabryś bawił się w handelek. Niejeden interes wspólnie ubili, ale w cywilu stracili się z oczu. Szprycha poszedł za głosem powołania, po czym odpoczywał kilka lat, bodaj w Rawiczu. Gabrysiowi dotąd za kolegą z wojska tęskno nie było, bo niby dlaczego miałyby się kompromitować taką znajomością? Co innego teraz. Potrzebny fachman, choćby i ze skazą. Szprycha rozpoczął gabrysiową listę.

Znalazł go w miejskim katalogu firm. Nie było daleko, więc poszedł pieszo. Firma zajmowała pokój w mieszkaniu na trzecim piętrze, ale w bramie szyld wisiał okazały:

„Zenex. Eksport – Import. Pośrednictwo”. Wlazł Gabryś na to trzecie piętro i zadzwonił. Drzwi otworzył Szprycha we własnej osobie, osobie już lekko szpakowa-

tej, pomarszczonej, ale zasadniczo nie zmienionej mimo upływu lat. Drobny był ten Szprycha, chuderlawy. Miał ciemne, rozbiegane oczki i ruchliwe ręce o palcach długich, szlachetnych w kształcie, jak u pianisty albo ginekologa. Oczkami obmacał Gabrysia dokładnie, wskazał pokój zapraszającym gestem, najwyraźniej nie poznał.

- Zobaczyłem szyld. Wstąpiłem zapytać, co słychać? Jak żyjesz? Co porabiasz? Nie poznajesz?

- Ależ jasne, że poznaję, jak najbardziej. Fajnie, że wpadłeś! Siadaj. Czego się napijesz?

Oczka biegały mu dwa razy szybciej niż przy drzwiach. Przypominał psiaka na środku jezdni. Gabryś natomiast rozsiadł się godnie, jakby był prezesem korporacji mającej właśnie wchłonąć to liche przedsiębiorstwo. Rozparty w fotelu prezentował się okazale.

- Kawy nie odmówię – powiedział łaskawie zakładając nogę na nogę.

- Majka! Zrób nam po kawie! – Szprycha rzucił polecenie gdzieś w głąb mieszkania. Usiadł na przeciw i pstryknął rasowymi palcami.

- Patrz, cholera, co się z człowiekiem robi? Pamiętam cię doskonale, tylko imię mi ze łba wyleciało. – Klepnął się przy tym w czoło otwartą dłonią – Ech, dobre były czasy w Luxpolu, co? Tyle lat... tyle lat.

Gabryś uśmiechnął się szatańsko i popatrzył z taką ironią, jak nie przymierzając, straganiarz na ulicznego, sprzedającego z torby. Zenek brnął dalej. Uczepił się Luxpolu, musiał znać tam kogoś podobnego.

- Rozsypała się nasza luxpolowska paczka, rozlazła. Bolek za granicą, Krata został dygnitarzem, jakimś podsekretarzem, czy czymś takim, ja jak widzisz, męcę się tu, a ty, stary, co robisz? Wpadłeś pogadać, czy z interesem?

Gabryś podstępnie nie wyprowadzał Szprychy z błędu, obserwował. Ostatecznie nie można proponować współpracy byle komu. Musi wyczuć, zbadać, nabrać zaufania.

- Trochę tak, trochę tak. – odpowiedział dyplomatycznie.

Weszła Majka z kawą. Gabryś na jej widok jakby się skurczył, rezon stracił, a na Szprychę popatrzył z uznaniem i zawiścią. Dziewczyna wyglądała na lat dwadzie-

ścia, najwyżej na dwadzieścia pięć. Miała długie, zgrabne nogi, które chętnie pokazała schyliwszy się nad stolikiem. Kształtną pupkę też uwidoczniła. Miała czarne, proste włosy i niebrzydką buzię. Za gabrysiowy jęk i westchnienie odpłaciła uśmiechem pełnym zrozumienia. Postawiła tackę i wyszła.

- Mam! – krzyknął Szprycha strzelając palcami. – Wreszcie sobie przypomniałem! Przepraszam cię stary! – Wstał, wymierzając w gościa długi palec – Poznałem cię po spojrzeniu na dupę! Gabryś! Kurna! Utyłeś byku i te wąsy mnie zmyliły. Majka, chodź tu szybko!

Gabryś też wstał. Raz jeszcze uścisnęli sobie prawice, tym razem bez poprzedniej powściągliwości, wyklepali się po ramionach, a nawet zrobili niedźwiadka. Dziewczyna wróciła.

- Skoczże Majka po flaszkę! Kolega z wojska mnie odwiedził! Przywitaj się Majka z panem. Cieszę się stary, że cię widzę po tylu latach! Gdzieś się byku podziawał?

Gabryś przywitał się z Majką. Ze staroświecką galanterią pocałował jej szczupłą dłoń, co przyjęte zostało z wyraźnym zadowoleniem. Teraz dopiero popatrzył jej w oczy i aż się wzdrygnął. Migotały w nich jakieś pornograficzne obrazki. Niesamowicie!

Szprycha wypchnął dziewczynę za drzwi manifestacyjnie klepiąc w tyłeczek, po czym wrócił na fotel. Wszystko stało się szybko, tak że Gabryś nie zdążył oprostować pomysłu z flaszką. Powaga planu wymagała trzeźwości, a ujęty serdecznym powitaniem już się był zdecydował zaproponować współnictwo właśnie Zenkowi.

- Przyszedłem z zaproszeniem do walca. – powiedział poważnym tonem.
- Nie byłeś tancerzem. – Szprycha też przybrał dostojną postawę. W oczkach zamigotały mu czujne błyski.

- Czasy parszywe, to i potaćzyć trzeba.
- Kto gra, a kto tańczy?
- Sami zagramy i sami zatańczymy. Wybrałem czas i sale na ten bal. Potrzebni tancerze i instrumenty.

- Ilu?

- Trzech do pięciu.

Twarze mieli poważne, skupione. Dwie wysokie, układające się strony.

- Psia krew! Jak stan morza, trzy do pięciu. Fajnie. Ilu już jest?

- Jeśli wchodzisz, to nas dwóch.

Szprycha zapadł się w fotelu. zamyślił się głęboko, natężył. Bębnił rasowymi palcami po wydętych wargach.

- Z tobą ... wejdę... Majkę dobierzemy... – mówił cicho i wolno, z rozmysłem – Jest bardzo dobra! – dodał dla uspokojenia, bowiem Gabryś się zachnął. – A reszta?

- Jest problem. Nie mam kontaktów, jestem spoza branży. – Gabryś rozłożył rękę.

- Jednego mogę polecić. Starszawy, ale dobry. W każdym razie pewny.

- Mamy czas o tym myśleć.

- No właśnie! Najważniejsze, kiedy bal? Gdzie sala do tańca? Ile można wytańczyć?

- Bal jesienią. Sale trzy, nie do wyboru, do obskoczenia jedna po drugiej. To zajmie najwyżej godzinę. Wytańczyć można nową bańkę... z górką, jak dobrze pójdzie!

- Kurna! Dobrze, ale czy nie za dobrze?

- Przemyślałem to. Wszystko gra! Projekt jest taki: ja dyryguję, reszta zna tylko swoje kroki i bierze za robotę. Jeśli idziesz na całość, to my się dzielimy, z tym, że dla mnie setka ekstra za projekt i kierownictwo. Pomyśl, co wolisz?

- Pewnie pójdę na całość. Tak czy inaczej muszę znać szczegóły.

- Jasne!

- No to wal!

Więc Gabryś walnął. Wywalił prawie wszystko, a to co zostawił na deser (zawsze można deseru nie podać) było najważniejsze. Zenek Szprycha słuchał uważnie, w należyтым skupieniu, ale w miarę poznawania szczegółów planu, stygł wyraźnie strojąc miny. Projekt bez zatajonego fragmentu wydał mu się dziecinnie naiwny, ba, głupi. Wątpliwości wyjawiał dosadnie.

- O kant dupy rozbić ten twój plan!

Szprycha machnął lekceważąco dłonią zdobną pięknymi palcami i pożałował nagle, że dał się wciągnąć w to głupie gadanie z mało (bądź co bądź) znanym sobie facetem. Wspomnienia wspomnieniami, ale co z niego teraz za typ, tego nie wiedział. Fłaszki nadal nie było. Szkoda! Łatwo można by na nią zwalić.

Wtedy właśnie Gabryś Zenka zaskoczył. Pochylił się i zniżonym głosem rzecz całą wyłuszczył.

- Na tym właśnie polega mój plan! – zakończył tryumfalnie odginając się na oparcie fotela.

- Ty masz, kurna, łeb! – Szprycha wyraził uznanie. – To mi się podoba!

Wróciła Majka, przyniosła pół litra, przysiadła z boku.

We trójkę rozmawiali o głupstwach. Pół litra na trzy gęby rozlane, to ani tak, ani siak. Rozbabrze się człowiek tylko i na pokusę wystawi.

Gabryś pokusie nie uległ. Zbierał się do odwrotu, wstał już nawet, kiedy Szprycha w rewanżu jego z kolei zaskoczył.

- Weź Majka przyjaciela do siebie! Co będzie chciał – na koszt firmy - powiedziało do niej.

Gabryś przypomniał sobie inny szyld w bramie, nie skojarzył go zrazu ze Szprychą. Poszedł za Majką na lekko drżących nogach.

* * *

Pupik, starszawy facet, o którym Szprycha wspominał, był emerytem dorabiającym jako portier i stróż w teatrze.

- Cholernie mi to pasuje! – cieszył się Gabryś. Budynek teatru odegrać miał znaczącą rolę.

Pupik zyskał swoją ksywkę trzydzieści lat temu, kiedy to zupełnie bez sensu, nie wiedzieć dlaczego, czyścił klub Ruchu i dał się na tym złapać. Po jakiego rogatego diabła mu to było? Czego tam szukał? Nawet przeczytać tego chłamu nie był w stanie, bo – jak to się mówi – języków obcych nie posiadał. Kumple zarykiwali się ze śmiechu, tak idiotycznej wpadki przy równie kretyńskim skoku jeszcze nie widzieli. Cóż, było,

minęło. Nadawał się, ze względu na ten teatr przede wszystkim. Mimo wieku trzymał się prosto, był postawny, a maskę i tak mu się przykryje.

Majka, którą Gabryś odwiedzał regularnie (na koszt firmy) i która mocno podkopała jego przekonanie o doskonałości Luśki, okazała się być dziewczyną bardzo zdolną. Do wszystkiego. Miała ładny, mocny głos, po aktorsku wyszkolony. Była przy tym odpowiednio pyskata. Gabryś i Szprycha przeznaczyli jej rolę spikera, kluczową, można powiedzieć. Będzie musiała szczerze pogawędzić z kimś, kogo znać nie mogła, a tym samym przewidzieć, z czym ów wyskoczy. Tego kogoś będzie musiała przekonać i to szybko, w ciągu minuty, do tego na odległość, bo przez telefon.

Trzecim kandydatem na tancerza był wykidajło z zenkowego lokalu, Bucem zwany. Chłopisko ogromne z łbem jak hipopotam. Gęba tego osiłka wyrażała mieszaninę bezgranicznej głupoty i dobrotliwej poczciwości, ale to pozór jedynie. Niebezpieczeństwo z jego strony polegało na tym, że raz poszczuty z trudem dawał się odwołać. Na co dzień zaś to monstrum rozpaczliwie pragnęło ludzkich wobec siebie odruchów. Cóż, kiedy kto mógł, usuwał mu się z drogi, świadom, że jego uścisk może skończyć się trwałym kalectwem. Na domiar złego Buc pachniał intensywnie starym capem. Nie pomagało ani częste trzymanie go pod prysznicem ani szprycowanie pachnidłami. Z tego powodu miał kłopoty w tak zwanych stosunkach międzyludzkich i trwał w wiecznej depresji.

Szprychę, nie wiedzieć czemu, historia Buca zrazu rozbawiła, potem wzruszyła na tyle, że postanowił przyjść mu z pomocą. Czy to z powodu nowicjatu, który Szprycha odbył po wyjściu na powietrze przed laty, a co niekiedy wspominał z rozrzewnieniem, czy z wrodzonej wrażliwości na niedolę bliźniego, dość, że Bucowi pomógł. Obiekcje Gabrysia, co do intelektualnych kwalifikacji Buca rozwiązał Szprycha krótko a dosadnie:

- Głupi, ale jak pies wierny temu, w kim sobie upodoba!

A upodobał sobie w panu Zenonie właśnie.

Było to tak: męskiemu personelowi należało się co jakiś czas, zgodnie z umową, spotkanie na piętterku. Cóż z tego, skoro Buc nie mógł z przywileju skorzystać, chociaż bardzo się palił, a to dlatego, że dziewczęta wykręcały się wszelkimi sposo-

bami, grożąc nawet porzuceniem posady. Takie wrażliwe, blacie skubane! Szprycha więc przyprowadził chłopakowi swoją podopieczną, panienkę wielkiej odwagi, nie Majkę broń Boże. Zaskarbił tym sobie psie oddanie Buca.

Buc był cennym pracownikiem, starczał sam na całą zmianę a wymagania płacowe zgłaszał skromne.

* * *

Szprycha prowadził swoją starą beemwicę jak chłop furmankę, z nonszalancką beztroską. Skorupa wolno się toczyła, porykiwała boleśnie ilekroć pedał depnął gwałtowniej i tylko dzięki temu, że szybciej tej kupy złomu pognać nie było można, dojechali na miejsce cało. Gabryś jechał upocony ze strachu, ale protestować bał się jeszcze bardziej, bo wiedział już, że Zenek jest przewrażliwiony, na krytyczną uwagę gotów reagować obrazą. To byłaby klęska.

Udał się ten Szprycha! Bez oporów wziął na siebie finansowanie przygotowań.

Dzięki Zenkowi jakoś Gabryś egzystował. Nie tylko z Majki wolno mu było korzystać od czasu do czasu, także przy barze mógł liczyć na browarek. Za te uprzejmości Szprycha wytargował ową setkę za pomysł i kierownictwo. Po odliczeniu doli dla pomocników reszta miała być dzielona równo.

Jechali porobić odpowiednie zakupy. Zabawki kupili w „Militar Shop RANGER”: pięć kałaszów ze składaną kolbą do złudzenia przypominających prawdziwe. Tam też kupili trzy granaty równie wielkiej urody. To były głupstwa, chociaż w tym akurat przypadku rekwizyty powinny być solidne. O wiele poważniejsza była transakcja w firmie: „Kosmetyka, Makijaż, Charakteryzacja”. Zredukowany z wytwórni filmowej charakteryzator paprał się nadal zawodem na własny już rachunek. Miał klientów, bo obu tancerzy ustawił do kolejki i kazał czekać. Dopiero po tygodniu musiał Szprycha gnać raz jeszcze do miary z całym zespołem.

Za to zredukowany artysta maski spreparował pierwszoklasne, artystyczna robota bez fuszerki! Doprawione nosy, dla Gabryśia sumiaste, sarmackie wąsy, bo ten uparł się swoich nie golić. Uszy im podmieniono, a policzki tak udanie zniekształcił,

że Szprycha stał się pucułowaty, Gabryś zyskał bużkę, jakby go galopujące suchoty dopadły. Nawet Buc wyładniał. Wyjątkowo spostrzegawczy gość, gdyby oświetlenie miał dobre, pewnie dopatrzyłby się w tym picu, ale to przecież w niczym nie wadziło. Pan charakteryzator policzył sobie słono, do targowania się nie dopuścił, ale dociekliwy nie był. Po co? na co? - nie pytał.

Ostatni sprawunek załatwili u wspólnego kołesia z woja, co to technikum chemiczne miał skończone. Fachowiec był starym kawalerem, dziwakiem i alkoholiakiem. Problem z nim polegał na sztuce trafienia między ciągi. Tu też dostali cacuszko prawdziwe, niezawodne w działaniu, proste w obsłudze, jednym słowem, mistrzowsko, na miarę szyte.

Na koniec każdej wizyty w obcym mieście włączyli się po sklepach z ciuchami ze zrzutów polując na obszerne płaszcze. Musiały być to łachy prezentujące się solidnie, żeby nie rzec, dostatnio. Oczywiście, największy kłopot był z mundurkiem dla Bucy, trzy razy przywozili mu płaszcz o rozmiarach namiotu i trzy razy lądował na śmietniku z rozerwanymi plecami.

Na Wszystkich Świętych byli gotowi. Pozostawało tylko czekać właściwego dnia.

* * *

Właściwy dzień był w piątek, dziesiątego listopada. Jak raz tego roku Święto Niepodległości wypadło w sobotę, przeto w piątek po południu rodacy dreptali do sklepów robić zapasy spirytualiów i zakąsek. Ruch był duży, przy kasach kolejki, pod kasami szuflady pełne szmalu.

O szesnastej trzydzieści cały zespół był gotowy. Na bużki powkładali twarzowe maseczki, przywdziali długie szynele, pod poły schowali zabawki, głowy przykryli i różnymi drogami pomaszerowali na punkt zborny.

Majka strój miała jak wszyscy, długi, granatowy płaszcz, perukę z rudymi kudłami a na ładnej buzi maseczkę upodabiającą ją do indyckiego jaja, tyle piegów jej artysta narobił.

Teraz dopiero, w umówionym miejscu, wtajemniczał Szprycha Buca i Pupika, co i jak mają robić. Starszy, który co do niego należało już być wykonał, teraz tylko stytstował. Koło południa umieścił cacko od sapersa w starannie dobranym miejscu, w przybudówce gmachu teatru, służącym za graciarnię.

Gabryś ze Szprychą obejrżeli to miejsce kilka dni wcześniej i zgodnie orzekli, że jest idealne. Frontowa ściana przybudówki powinna osypać się na placyk dokładnie o godzinie X. Pijaczyna saper głową za to ręczył. Zegar w pakunczku nastawiony był na godzinę siedemnastą a chodził dokładnie, co do sekundy, jakby był patkiem jakimś, a nie byle budzikiem kupionym na straganie.

Za kwadrans siedemnasta wszyscy byli w stanie pełnej gotowości. Szprycha z Bucem i Pupikiem przyczaili się w bramie a Gabryś z Majką poszli ku automatom telefonicznym. Siąpił drobny deszcz, raz po raz podmuchami wiatru przymuszany do rzygania prosto w twarze. Było to dodatkową, sprzyjającą okolicznością.

* * *

Starszy aspirant Witczak był wściekły. Wlepili mu dodatkowy dyżur dlatego, że był aspirantem i kawalerem. Wszystko przez starego, który sam polazł na akademię, co rozumiało, ale po czorta brał ze sobą aż trzech oficerów? Kto więc miał mieć służbę? Jasne, że Witczak!

Służba nie drużba, jak to mówią. Wykręcić się nie mógł. Właściwie nic się nie działo. Zgłoszeń z miasta niewiele, poważnego wypadku żadnego, można było wytrzymać.

Stał tyłem do biurka, palił sobie „sobieskiego” i patrzył przez kraty w oknie na oświetlony teatr po drugiej stronie placu. Tam teraz starszyczna z całą miejską śmie-tanką uczestniczy w świątecznej akademii. Medale sobie przypinają, wygłaszają dęte mowy, potem, wiadomo, bankiet. Spojrzał na zegarek. Dochodziła piąta.

Telefon zaterkotał akurat wtedy, kiedy papierosa kończył. Capnął słuchawkę z ochotą, bo zaczynał się nudzić.

- Aspirant Witczak, słucham - powiedział dziarsko.

- Cześć ci, aspirancie Witczaku! Będziesz miał dziś trochę roboty. Tylko się nie denerwuj i rób co ci każe kochasiu, a awans cię nie minie! Chcesz być oficerem?

Witczak zrazu zgłupiał. Głos był damski, zasadniczo przyjemny, można nawet powiedzieć, brzmiał jakby pościelowo, tak gruchająco, na przydechu. Komu się zebrało na kawały?

- Kto mówi? W jakiej sprawie?

Nie bardzo mógł się pozbierać.

- Ja mówię, a ty słuchasz, dobrze? Więc słuchaj! Nasza organizacja jest w pilnych potrzebach i musisz nam pomóc, po prostu nie masz innego wyjścia, kochasiu! Zaraz wszystko ci wyjaśnię...

- Jaka organizacja? Co to znaczy?

- Nie przerywaj damie, kochasiu! Po pierwsze, to nieładnie, po drugie, nie będę powtarzać! Uważaj i staraj się zapamiętać. Wiesz, kochasiu, co odbywa się w teatrze? Musieliśmy zaminować budynek a ja mam przy sobie takie śliczne urządzonko, że tylko nacisnąć guziczek a robi się wielkie buum, kochasiu! Słuchaj teraz uważnie: Nikomu nic się nie stanie, jeżeli w ciągu dziewięćdziesięciu minut dostaniemy to, co nam potrzebne. Będziesz grzeczny i wszystko wspaniale załatwisz. Liczę na ciebie! Potem, już po wszystkim, umówię się z tobą na pieszczołki...

- Co to za wygłupy? Kim pani jest?

Ciągle był oszołomiony i mało siebie pewny.

- Nie przerywaj palancie! Już raz ostrzegałam! Czas ucieka!

Głos w słuchawce zdecydowanie zmienił barwę. Teraz wcale nie brzmiał pościelowo, raczej kloacznie. Przypomniała się Witczakowi babka klozetowa, której kiedyś nie zapłacił. Nacisnął guzik przy drugim aparacie. W uchylonych drzwiach ukazała się gęba Karpika, szczerza i bezmyślna. Dał mu Witczak znaki, żeby włączył urządzenie nagrywające i lokalizował rozmówcę, który tymczasem kończył kwestię:

- Żebyś gnoju nie myślał, że to żarty! O piątej ci pokażę! Zadzwoń dokładnie za cztery minuty i dopilnuj, żebym nie miała kłopotów z połączeniem. Pa, kochasiu, do miłego!

Rozmowa została przerwana. Starszy aspirant Witczak spojrzął na zegarek. Była piąta za pięć.

Był skłonny lekceważyć ten wygłup, miał nawet pewne podejrzenia co do autorki kawału.

- Czego się gapicie? – wrzasnął na Karpika. – To wszystko ma być nastawione! Szerokim gestem wskazał biurko, telefony i cały skomplikowany sprzęt.

- Prawdopodobnie to szantaż, próba wymuszenia, rozumiecie? Za cztery – zerknął na przegub lewej ręki – już za trzy minuty ma dzwonić. Dopilnujcie, żeby łączyć szybko. Nie blokować tego numeru!

Zadzwoniono na miejski, zwyczajny numer. Odebrał Karpik. Poproszony miłym, dziewczęcym głosem o oficera dyżurnego, grzecznie odpowiedział:

- Już łączę, proszę pani.

Starszy aspirant Witczak uspokoił się, poprawił mundur, przyciągnął pas, wyjął kolejnego papierosa. Karpik trzasnął obcasami wyciągając usłużnie rękę z zapalniczką. Witczak zaciągnął się głęboko.

- To głupie żarty. Damy im żarty! – Uderzył kantem prawej dłoni o otwartą lewą – lokalizujcie, skąd dzwonią!

Usiadł za biurkiem. W głębi duszy liczył, że to nie jest głupi żart. Wreszcie będzie miał okazję popisać się wiedzą policyjną, rozważą i zdecydowaniem w działaniu. Jednym słowem - poprowadzi sprawę wzorowo.

Ze zdumieniem spostrzegł, że ma mokro pod pachami, dłonie także stały się wilgotne. Fuj! Niemiłe uczucie. Chociaż ze wszystkich sił starał się zapanować nad sobą, drgnął wyraźnie na dźwięk dzwonka.

- Aspirant Witczak, słucham!

- Cześć kochasiu! To znowu ja!

W słuchawce odezwał się ten sam głos. Teraz był odpowiednio wzmocniony i wypełniał całą przestrzeń. Na Karpika snadź robił wrażenie swoją barwą, bo policjant wyrócił ślepią ku sufitowi i gębę rozwarł.

- Wstań i wyrzyj przez okno! – poleciła dziewczyna. – Widzisz teatr? To dobrze kochasiu. Z lewej strony jest przybudówka, magazyn, przyjrzyj mu się! Żeby cię przekonać, że to nie żarty, zaraz tę przybudówkę usuniemy, widzisz ją?

- Tak, widzę – odpowiedział cicho. Wstał posłusznie i wyrzał przez okno.

- Fajnie, kochasiu. Teraz wyjmę instrumencik, puknę go paluszką, jeszcze raz w inne miejsce, w sam czubeczek. Chciałbyś kochasiu, żebym twój instrumencik też tak w czubeczek, co?...

Na przegubie lewej ręki starszego aspiranta Witczaka zapiszczał zegarek oznajmiając wokół, że minęła siedemnasta. I wtedy właśnie zdało się aspirantowi, że przybudówka, którą pilnie obserwował, podskoczyła, coś pod nią błysnęło, rozdeła się śmiesznie i zniknęła w obłoku pyłu. Coś głucho zadudniło. Dziewczyna nadal szczebiotała androny o instrumenciku i palcowych manipulacjach. Policjant Karpik szerzej gębę rozdziawił.

* * *

- Jassssna gała! – wysyczał Witczak. -- Alarm! -- wrzasnął. – Alarm dla wszystkich! Alarm!

Odwrócił się od okna, tupnął nogą, spiorunował wzrokiem Karpika. Słuchawkę wciąż trzymał przy uchu.

- Nie rycz tak kochasiu! Ależ ty jesteś nerwowy – usłyszał ponownie gruchający głos. – Ogłoś alarm przez radio, gardziołko sobie zedrzesz. Jesteś grzecznym chłopcem i na pewno nie odmówisz dziewczynie...

- Boże, co mam robić?

Aspirant całkiem się rozkleił. Wiedział już, że to nie żarty. Na jego oczach ta wściekła dziwka rozpieprzyła kawał solidnego muru. Terrorystka! Nie ulegało wątpliwości, że w mieście są terroryści! Opanowali teatr a tam... Boże! Usiadł przy biurku, bo zdawało mu się, że podłoga się pod nim zakołysała. A ona grucha, ośmiesza go słodkim głosikiem, stęka lubieżnie do telefonu, pojękuje. Cały pokój wypełnia naj-

oczywistszą pornofonią. Karpik śmieje się głupio. Jeszcze dwu mundurowych zajrzało do gabinetu z minami, jakby wyuzdany pokaz oglądali w jakimś lupanarze.

- Teraz słuchaj uważnie, żebyś nie pokićkał.

Ton głosu nagle się zmienił. Był to nadal ten sam kobiecy głos, ale już całkiem pozbawiony pieśczołliwej barwy. Witczakowi przypomniała się sucha i zimna wykładowczyni ze szkoły policyjnej. Nazywali ją skolopendrą. Aspiranta przeszedł dreszcz.

- Za dziewięćdziesiąt minut masz pan, panie policmajster, przygotować dla nas mały podarek. Nie odmówisz kochasiu dziewczynie, prawda? Wiedziałam. Teatr może być w każdej chwili złożony, jak domek z kart, wiesz o tym? Świetnie! Wobec tego słuchaj: Nasi ludzie wszystko obserwują, więc żadnych numerów! Przygotujecie niewiele, tylko milion. Nie jesteśmy byle bandziorami, żądamy niewiele. Szmal ma być w pięćdziesiątkach zawiniętych w gazetę. Co? Wszystko jedno w jaką gazetę, nie będziemy czytać. Paczka do torby. Reklamówka od Majora. Tak! Żółta reklamówka, koniecznie. Zapamiętałeś kochasiu? Torbę wyniesie cywil na przystanek tramwajowy i poda do drugiego wagonu na tylny pomost siódemki. Jedzie o dziewiętnastej trzydzieści pięć w stronę osiedla akademickiego. Nasz człowiek torbę przejmie. Radzę mu w tym nie przeszkadzać! O ósmej trzydzieści możecie wejść do teatru, możecie robić, co wam się będzie podobało, nawet nas szukać i robić hałas na pół świata, ale ani sekundy wcześniej! Jeżeli coś mi się nie spodoba, wciskam guzik bez ostrzeżenia, więc bez numerów, ok.? Do ósmej trzydzieści nikt nie ma prawa wejść ani wyjść z teatru. Jasne? Naszych ludzi radzę nie niepokoić. Bywają nerwowi i któryś może guziczek nacisnąć a byłoby szkoda. Mamy trzy niezależne od siebie aparaty do zdetonowania tego gówna w teatrze. Zapamiętałeś to wszystko? Masz to zresztą nagrane, to sobie sprawdzisz. Jak torba znajdzie się w tramwaju - zadzwonię. Pożegnaj się z tobą kochasiu, a rób wszystko, żebyś nie musiała składać reklamacji. Pa, pa, do usłyszenia.

- Halo! Nie przerywać rozmowy! - Witczak ryknął do słuchawki.

Udało się. Dziewczyna jeszcze jej nie odłożyła.

- Cóż to kochasiu? Tak miło ci ze mną gawędzić, że rozstać się nie możesz? To nie jest party line, opanuj się chłopcze.

Znów modelowała głos łózkowo.

- Za mało czasu! Skąd wezmę tak szybko okup? To nie jest technicznie wykonalne. Musicie dać więcej czasu, zadzwoń za pół godziny.

- Taki ładny i grzeczny chłopczyk a już próbuje kręcić. Nieładnie! Zgoda! Dzwonię o siódmej, żeby dowiedzieć się, że wszystko gra i radzę, żeby tak było! No malutki, do roboty, bo rzeczywiście nie zdążysz. Buźka!

Połączenie zostało przerwane.

* * *

Starszy aspirant Witczak z trudem bo z trudem, ale zapanował nad drżeniem głosu i rozdygotanymi rękami. O poprzednio zapalonym papierosie zapomniał i ten zgorzał w popielniczce bezproduktywnie. Zaczął od zapalenia nowego.

- Karpik! Skąd ta kurwa dzwoniła? – zapytał wypuszczając kłęb dymu.

- Z automatu. – odpowiedział podkomendny zgodnie ze swoją, ograniczoną w tym momencie wiedzą.

- Z którego?

Witczak zrobił się nieprzyjemnie dociekliwy.

- Jeszcze nie wiem.

- To się do ciężkiej cholery wreszcie dowiedźcie!

- Tak jest!

Przez radio połączył się z teatrem. Konkretnie z kolegą Józkiem Czuprynką, który miał tam służbę dowodząc pięcioma chłopcami, z czego trzech było w mundurach. Od kilku minut, to znaczy od chwili wybuchu, próbował się Czuprynka skontaktować z komendą, bo huk wybuchu go zaniepokoił.

- Co się dzieje? – spytał ucieszony, że wreszcie rozmawia z dyżurnym.

- Józek, kurwa! Sajgon w mieście! Jesteście zakładnikami! Pilnuj, żeby nikt z teatru nie wyłaził, nikogo nie wpuszczaj i nie wypuszczaj ! Wywołaj dyskretnie staro, muszę z nim pogadać. Pospiesz się!

Tych dwóch, którzy zaglądnęli poprzednio, nadal stało w drzwiach z głupimi minami.